

opusdei.org

Tajemnica Opus Dei

Fragment książki Scotta Hahna
"Zwyczajna Praca,
Nadzwyczajna Łaska. Moja
duchowa droga do Opus Dei".
Rozdział III o synostwie Bożym.

08-09-2019

Nie jeden młody kapłan,
przygotowując się do wygłoszenia
kazania, daje się ponieść
homiletycznej pasji. Z zapalem
studiuje i zgłębia wybrany problem,
który szybko nabiera decydującej
wagi i wkrótce wydaje się stanowić
sedno wszystkich innych spraw,

wiązać z każdym tematem i tłumaczyć każdą zagadkę.

Coś takiego przydarzyło się jednemu z młodych księży w Opus Dei.

Niewiele wcześniej został wyświęcony, a teraz służył w Rzymie, w historycznym i administracyjnym sercu Kościoła katolickiego, w bezpośrednim otoczeniu prałata Escrivy, który wówczas jeszcze żył i uczestniczył w bieżących czynnościach Dzieła.

Jakież więc były podniecenie i radości radość młodego kapłana, gdy poproszono go, by wygłosił krótkie rozważanie w miejscu powstania Opus Dei, gdzie wciąż żył i pracował jego założyciel. Tematem refleksji miała być pokora.

Od kapłanów Opus Dei – podobnie jak od innych jego członków – we wszystkich działaniach oczekuje się najwyższego profesjonalizmu, ponieważ swoją pracę ofiarowują

Bogu. Kaznodzieja powinien więc przygotować homilię z należytą starannością, badając w pierwszej kolejności to, co święci i uczeni powiedzieli na dany temat. Członek każdej instytucji w Kościele katolickim z pewnością sięgnie także do pism jej założyciela. W tym przypadku nie było to trudne: prałat Escrivá pisał bardzo wiele na temat pokory.

Możemy więc być pewni, że nasz młody ksiądz przygotował się sumiennie do tego, by mówić o pokorze. Być może czuł się nawet przytłoczony ogromem tego tematu, gdy zaczął go omawiać w kaplicy rozświetlonej mdłym blaskiem świec.

W pewnej chwili stwierdził z przekonaniem: „Duchowy fundament Opus Dei stanowi pokora!”. Może nawet zawiesił na chwilę głos, by podkreślić wagę swych słów.

Wtedy właśnie, w tej krótkiej chwili ciszy, w odległym końcu kaplicy rozległ się mocny, ojcowski głos: „Nic podobnego!”.

Po chwili z cienia wyłonił się św. Josemaría, zmierzając żwawo w stronę młodego kaznodziei. Ze słowami „Pozwól, mój synu”, starzec łagodnie odsunął młodzieńca i zajął jego miejsce.

Trzeba dobrze zrozumieć znaczenie tej chwili. Święty Josemaría wysoko cenił uprzejmość i dobre maniery. Nie miał w zwyczaju przerywać innym ani poprawiać każdego, komu zdarzyło się wyrazić nie dość ściśle. Nie widział jednak nic niestosownego w tym, by widząc pożar, krzyknąć „Pali się!”. Najwyraźniej uznał, że przekłamywanie istoty ducha Opus Dei – nawet pod wpływem młodzieńczego zapału – wymaga natychmiastowej i nadzwyczajnej

reakcji, zwłaszcza tutaj, w samym sercu Dzieła.

Sam więc dokończył przerwane rozważania, przedstawiając zebranym w kaplicy słuchaczom – którzy teraz przysłuchiwali się ze zdwojoną uwagą – prawdziwy duchowy fundament Opus Dei.

Fundamentem tym – powiedział – jest synostwo Boże^[1].

Definiowanie pojęć

Synostwo Boże. Jak rozumieć ten dziwny, techniczny termin ukuty przez teologów? Święty Josemaría twierdzi, że wyrażona w nim idea powinna stać się osią naszego życia.

Idea ta wywodzi się wprost z Biblii: „obecnie jesteście dziećmi Bożymi” (1 J 3,2). Jest prosta i dobrze znana – do tego stopnia, że wielu z nas zdążyła już mocno spowszednieć. Pojęcia „Boże

ojcostwo” oraz „braterstwo wszystkich ludzi” to dziś już tylko wytarte slogany, nawet wśród niechrześcijan. Doktryna ta, tkwiąca niegdyś u podstaw głoszenia Ewangelii, wtopiła się bez reszty w naszą kulturę, tracąc przy tym szokującą wartość, jaką niosła dla pierwszego pokolenia chrześcijan. Święty Jan, pisząc o synostwie Bożym, nawet po kilkudziesięciu latach głoszenia Ewangelii, wciąż nie potrafił ukryć zdumienia: „Popatrzcie, jaką miłością obdarzył nas Ojciec: zostaliśmy nazwani dziećmi Bożymi i rzeczywiście nimi jesteśmy” (1 J 3,1).

I rzeczywiście nimi jesteśmy!
Zastanówmy się przez chwilę nad fenomenem ludzkiego poczęcia i narodzenia, które możemy oglądać dzięki miniaturyzacji kamer. Biorąc pod uwagę wszystkie naturalne przeszkody, wydaje się doprawdy niezwykle, że plemnikowi udaje się

zapłodnić jajo, że zarodek ulega
zagnieżdżeniu, a następnie rozwija z
niego płód, który dalej rośnie w
macicy aż do narodzin. Nic
dziwnego, że film dokumentalny
ukazujący cały ten proces,
wyemitowany niedawno przez jedną
ze stacji telewizyjnych, nosił tytuł
„Cud narodzin”.

Już ludzkie synostwo jest cudem,
choć błędnie ono w porównaniu z
nadprzyrodzonym synostwem, jakie
chrześcijanie otrzymują przez
chrzest. Dostępujemy wówczas
utożsamienia i zjednoczenia z
Chrystusem i otrzymujemy moc, by
żyć Jego życiem – zostajemy
podniesieni do udziału w życiu
wiecznego Syna Bożego w Trójcy
Najświętszej. Przez chrzest stajemy
się – jak Jezus – dziećmi
wszechmogącego, wiecznego Boga;
dziećmi Ojca, który ma moc dać nam
wszystko, czego potrzebujemy; Ojca,
który jest doskonały,

wszechwiedzący i wszechobecny;
Ojca, który dotrzymuje obietnic i
nigdy nie popełnia błędów.

Synostwo Boże to powód, dla którego
przyjmujemy chrzest; to sama istota
nieba. To właśnie Nowy Testament
nazywa „zbawieniem”,
„uświęceniem” i
„usprawiedliwieniem”. Święty
Josemaría nie waha się nazwać tego
procesu wręcz „przebóstwieniem”, w
którym zwykli ludzie dostępują
udziału w boskiej naturze i stają się
podobni do Boga. Żyją odtąd jako
Boże dzieci w wiecznej rodzinie
Bożej, w Trójcy Świętej.

Przez chrzest stajemy się dziećmi
Bożymi, bowiem żyjemy w
Chryście. Jesteśmy – jak mawiali
Ojcowie Kościoła – „synami w Synu”.
W długiej mowie pożegnalnej
zawartej w Ewangelii św. Jana Jezus
opisuje swą wspólnotę z Ojcem, ale i
ze wszystkimi, którzy wierzą: „Ja

jestem w Ojcu moim, a wy we Mnie i Ja w was” (J 14,20).

Tylko Chrystus jest jednorodzonym Synem Bożym. Nasze synostwo nie jest więc tożsame z Jego synostwem, ale ma w nim udział. Nie jesteśmy Bogiem. A jednak sam Jezus opisuje nasze synostwo mówiąc: „Bogami jesteście” (J 10,34; zob. Ps 82,6). On jest Synem niezrodzonym i wiecznym. Nasze synostwo jest natomiast owocem łaski, stworzenia i adopcji – co w niczym nie umniejsza jednak jego rzeczywistości. Przez chrzest stajemy się prawdziwiej Jego dziećmi, niż kiedykolwiek byliśmy dziećmi swych ziemskich rodziców. Przez chrzest niebo staje się naszym domem prawdziwiej niż miejsce, w którym przyszliśmy na świat. Święty Maksym Wyznawca ujął to tak: „stajemy się w pełni tym, kim jest Bóg, wyjąwszy poziom bytu” i przyjmujemy na siebie „pełnię samego Boga” w całej Jego

nieskończoności i wieczności. Święty Jan Damasceński powiada, że przez łaskę stajemy się tym, kim Bóg jest z natury.

Wydaje się, że zachodzi tu paradoks: to, co skończone, zawiera w sobie to, co nieskończone. A jednak sam Bóg sprawił, że stało się to możliwe, przyjmując ludzkie ciało w Jezusie Chrystusie. Czyniąc to, dokonał uczłowieczenia swej boskości, lecz również przebóstwienia człowieczeństwa, uświęcając tym samym wszystko, co tworzy tkankę ludzkiego życia: przyjaźń, posiłek, rodzinę, podróż, naukę i pracę.

Tramwaj zwany przebóstwieniem

Nie chciałbym tworzyć wrażenia, że wszystko to pozostaje wyłącznie w sferze teorii i nie daje się wyrazić inaczej, jak tylko w uczonych słowach. Jako teolog i wykładowca zdaję sobie sprawę, że często mamy zwyczaj tak mówić. Święty Josemaría

sam był nauczycielem i doktorem w dwóch dyscyplinach naukowych, ale idei synostwa Bożego nie wyprowadził bynajmniej z żadnego sylogizmu i rzadko mówił o nim w kategoriach ściśle teologicznych. Przekonanie o tym zrodziło się w nim w toku znacznie bardziej bezpośrednich przeżyć wewnętrznych.

Był rok 1931, minęły trzy lata od pierwszej wizji, a św. Josemaría wciąż niewiele osiągnął pomimo usilnych modlitw i starań. Cierpiał przy tym z powodu niepokoju targających Hiszpanią, które w końcu miały doprowadzić do wybuchu krwawej wojny domowej. Wokół szerzyło się ubóstwo i upadek obyczajów, a antykatolickie nastroje nasilały się. Ta społeczna burza najsilniej szalała w stolicy, Madrycie, gdzie mieszkał.

Rankiem 16 października, po odprawieniu mszy, św. Josemaría próbował modlić się „w zaciszu swej świątyni”, lecz wkrótce stwierdził, że nie potrafi. Wyszedł więc z kościoła i kupił gazetę, po czym wszedł do tramwaju. Usiadł i zaczął przeglądać bieżące wiadomości, gdy nagle i bardzo dobitnie „poczuł działanie Pana”. Tłumaczył później, że Bóg „sprawił, że zakiełkowało w moim sercu i ustach, z przemożną siłą czegoś koniecznego, to czułe wezwanie: *Abba, Pater!*”[2].

Choć nie potrafił modlić się w zaciszu świątyni, nagle – na hałaśliwej ulicy, w zatłoczonym tramwaju – zatopił się w modlitwie. Modlitwą tą było zaledwie jedno słowo: „Ojcze!”, a właściwie, ściślej rzecz biorąc: „Tatusiu!”. W języku aramejskim, którym mówił Jezus, *abba* to pełne czułości, serdeczne słowo, jakim małe dzieci zwracają się do taty. Jezus, podobnie jak św. Paweł,

używał go w modlitwie. *Pater* to po łacinie „ojciec” – słowo, które wielokrotnie pojawia się we Mszy.

Nie były to tylko słowa. Tego właśnie dnia św. Josemaría w swym dzienniku opisał to doświadczenie jako „napływającą modlitwę uczuć, silną i gorącą”[3]. Nie potrafił powstrzymać modlitwy cisnącej się na usta. Wsiadł z tramwaju i wędrował hałaśliwymi ulicami, ale wciąż nie mógł przestać wzywać swego niebieskiego Ojca: *Abba! Pater! Abba! Pater! Abba! Pater!* Stracił też rachubę czasu; trwało to „może przez godzinę, może dwie”[4]. Mijający go przechodnie „musieli brać mnie za wariata” – zanotował później. Aż do tej chwili, do tej porannej jazdy tramwajem, nie uświadamiał sobie pełni znaczenia Bożego ojcostwa dla własnego życia, dla świata i dla rodzącego się Dzieła. Doświadczenie to nazywał później „pierwszą modlitwą syna Bożego”.

Natychmiast też dostrzegł wagę tego wydarzenia dla duchowości Opus Dei.

Bóg nie pozwolił mu modlić się w zacisznym kościele, lecz obdarzył go darem niepohamowanej modlitwy pośród zwykłego, powszedniego dnia. Od tego czasu św. Josemaría miał niewzruszone przekonanie, że „synostwo Boże” – jak często mawiał – „jest duchowym fundamentem Opus Dei”[5].

Jakie płyną z tego konsekwencje? „Żyjąc tym synostwem Bożym, synowie moi będą pełni radości i pokoju, chronieni przez niezwyciężony mur; będą umieli być apostołami tej radości i przekazać ten pokój, także w obliczu cierpienia własnego i cudzego. Właśnie dlatego, że jesteśmy przekonani, że Bóg jest naszym Ojcem”[6].

Jak Ojciec, jak Syn

Znać Boga jako Ojca to znać Boga chrześcijan, Boga Jezusa Chrystusa. Boże ojcostwo to bowiem idea wybitnie chrześcijańska. Tylko chrześcijanie twierdzą, że „Ojciec” to imię Boga. Inne religie uczą, że Bóg jest jak ojciec, ponieważ stworzenie pod pewnymi względami przypominało ludzkie rozmnażanie, bądź ponieważ boska opatrzność pod pewnymi względami przypomina opiekę ziemskich rodziców. W religiach niechrześcijańskich Boże ojcostwo jest ostatecznie kwestią metafory. Bóg postępuje na sposób ojcowski jedynie wobec innych bytów: świata, rasy ludzkiej, czy wybranego ludu. Postępuje jak ojciec tylko dlatego, że stworzył coś lub kogoś, by otoczyć go opieką. Tym samym Boże ojcostwo w ujęciu niechrześcijańskim jest uzależnione od innych bytów. Jest powiązane z Bożym działaniem w czasie, ale nie przynależy do jego istoty.

Dla muzułmanów nazywanie Boga „ojcem” to jawne bluźnierstwo, pogwałcenie Bożej transcendencji i prostoty. Według żydów Bóg postępuje jak Ojciec wobec swego narodu wybranego, ale Jego ojcostwo nie poprzedza stworzenia ani wybrania.

Dla chrześcijan natomiast Boże ojcostwo należy do samej jego istoty. Bóg jest Ojcem. To kwestia nie tyle metafory, co metafizyki. Słuszniej byłoby stwierdzić, że to raczej ludzkie ojcostwo ma charakter metaforyczny i stanowi doczesny znak wiecznej rzeczywistości. Boże ojcostwo jest prawdziwym ojcostwem w najprawdziwszym sensie.

Bóg jest odwiecznym Ojcem Jezusa Chrystusa. Jest także Ojcem tych, którzy przez chrzest żyją w Jezusie Chrystusie.

Prawda Ewangelii

Nie jest to bynajmniej nic nowego – raczej ponowne odkrycie klasycznego chrześcijaństwa. Święty Josemaría mawiał, że prawda ta „jest stara jak Ewangelia i jak Ewangelia nowa”[7].

Starotestamentowe odwołania do ojcostwa Bożego są stosunkowo nieliczne i niejednoznaczne. Również pierwsze cztery rozdziały Nowego Testamentu ani słowem nie wspominają o Bożym ojcostwie. Dopiero wówczas, gdy Jezus zaczyna głosić Ewangelię, gdy wygłasza swoje najdonioślejsze przesłanie – Kazanie na Górze – idea ojcostwa Bożego zaczyna nagle jaśnieć pełnym blaskiem. W tym jednym kazaniu Bóg zostaje nazwany Ojcem aż siedemnaście razy – więcej niż w całym Starym Testamencie. W punkcie kulminacyjnym Jezus naucza, by modlić się do Boga słowami: „Ojcie nasz”, ustanawiając

zupełnie nową, rewolucyjną formę modlitwy.

Synostwo Boże stanowi sedno Ewangelii głoszonej przez Chrystusa. Zasadza się na nim cały sens zbawienia, jakie dla nas wyjednał. Bowiem Jezus nie wyzwolił nas tylko od grzechu, ale także do synostwa. Doskonale ujmuje to *Katechizm Kościoła Katolickiego*:

Przez swoją śmierć Chrystus wyzwala nas od grzechu; przez swoje Zmartwychwstanie otwiera nam dostęp do nowego życia. Jest ono przede wszystkim usprawiedliwieniem, które przywraca nam łaskę Bożą, „abyśmy i my wkroczyli w nowe życie – jak Chrystus powstał z martwych” (Rz 6,4). Polega ono na zwycięstwie nad śmiercią grzechu i na nowym uczestnictwie w łasce. Dokonuje ono przybrania za synów, ponieważ ludzie stają się braćmi Chrystusa[8].

Synostwo Boże to dar, który Bóg zamierzył dla Adama i Ewy na początku stworzenia. Bóg stworzył prarodzców „na swój obraz” i „podobieństwo” (Rdz 1,26–27; zob. także Rdz 5,1). Zwrot ten pojawia się w Biblii ponownie tylko jeden raz: dla opisania ludzkiego ojcostwa, gdy Adam spłodził Seta (Rdz 5,3). Przy stworzeniu Bóg „tchnął w nozdrza człowieka tchnienie życia, wskutek czego stał się człowiek istotą żywą” (Rdz 2,7). Mowa tu nie tyle o życiu biologicznym czy zdolności oddychania, ile o życiu Bożym. Bóg tchnął swoje tchnienie – *ruah*, Ducha[9] – tylko w Adama i żadną inną stworzoną istotę. Od początku Bóg darował mężczyźnie i kobiecie udział w swoim życiu, w bezpośredniej bliskości samego siebie. Adam i Ewa postanowili jednak „być jak Bóg” (Rdz 3,5) nie na Jego warunkach, lecz na swych własnych. Ich grzech pierworodny

polegał na odrzuceniu synostwa Bożego. Bóg uszanował ich wybór.

Zbawienie dokonane przez Jezusa polegało na przywróceniu ludzkości pierwotnej godności i wypełnieniu Bożych zamysłów wobec stworzenia. „Umiłowani, obecnie jesteśmy dziećmi Bożymi” (1 J 3,2). Żadna inna prawda nie miała większego znaczenia dla pierwszych chrześcijan – podobnie jak dla jednego z pasażerów madryckiego tramwaju w roku 1931. Święty Paweł pisze do Galatów: „Na dowód tego, że jesteście synami, Bóg zesłał do serc naszych Ducha Syna swego, który woła: *Abba*, Ojcze!” (Ga 4,6).

Zapomniana doktryna?

Jest to klasyczny chrześcijański postulat. Mimo to żaden badacz historii chrześcijaństwa nie może zaprzeczyć, że w ostatnich wiekach doktryna o synostwie Bożym znalazła się na marginesie. Pojęcia

„przebóstwienia” bądź „deifikacji” – chleb powszedni Ojców Kościoła – popadły w zapomnienie do tego stopnia, że kardynał Christoph Schönborn w 1988 roku musiał napisać traktat w obronie tej idei[10]. Cytuje w nim szereg powodów historycznych, dla których chrześcijanie zapomnieli o swym synostwie. Chciałbym tę listę uzupełnić o jeszcze jeden powód, który ukazał mi się szczególnie wyraźnie, gdy po raz pierwszy zacząłem nieśmiało przyglądać się wierze katolickiej.

Uważam, że idea synostwa Bożego zagubiła się w poreformacyjnych sporach na temat związku między wiarą, uczynkami a usprawiedliwieniem. Przez cztery wieki teologowie katoliccy i protestanccy skupiali się tak bardzo na tych zagadnieniach, że stracili z oczu zasadniczy fakt chrześcijańskiego życia.

Reformatorzy kwestionowali niektóre kościelne dogmaty, a Kościół musiał reagować, poświęcając im baczną uwagę. Pod wpływem długotrwałych kontrowersji i sporów nastąpiło przesunięcie akcentów doktrynalnych. W czasach, które nastały po Reformacji, autorzy katoliccy czuli się w obowiązku szczególnie akcentować sprawy kwestionowane przez protestantów. Było to wprawdzie niezbędne, ale z konieczności miało charakter naprawczy. W rezultacie powstała teologia nieco odkształcona i zdeformowana.

U protestanckich reformatorów zafascynował mnie nacisk na „przymierze” będące motywem przewodnim całej Biblii, która sama dzieli się na Stare i Nowe Przymierze. Zwłaszcza Jan Kalwin upatrywał w przymierzu klucza do należytego zrozumienia naszego usprawiedliwienia, uświęcenia i

zbawienia. Dla Kalwina jednak „przymierze” było mniej więcej tożsame z „umową”, dlatego nic dziwnego, że jego duchowi spadkobiercy skłaniali się do opisywania chrześcijaństwa w kategoriach praw, obowiązków oraz wzajemnej wymiany.

Współczesne badania na temat przymierza ukazały mi natomiast coś całkiem innego. Starożytne przymierze było czymś więcej niż tylko umową czy porozumieniem. Było sposobem nawiązania więzi rodzinnej. Strony przymierza stawały się odpowiednio rodzeństwem, małżonkami, rodzicami bądź dziećmi. Przymierzem były zaślubiny oraz adopcja.

Zawierając przymierze, Bóg nie tyle stanowi prawo, ile tworzy rodzinę. Nieuchronną konsekwencją

przymierza jest zatem synostwo Boże.

Nietrudno sobie wyobrazić moją radość, gdy będąc jeszcze protestantem, zetknąłem się po raz pierwszy z nauką św. Josemaríi. Ktoś wreszcie nauczał o odkupieniu przede wszystkim w kategoriach rodzinnych: Bóg jest Ojcem, Kościół rodziną, Maryja matką wszystkich wierzących, ludzkość braćmi i siostrami, a wszyscy ochrzczeni Bożymi dziećmi. „Teraz wszystko jest skończone. Dzieło naszego Odkupienia zostało dokonane. Jesteśmy od nowa dziećmi Bożymi, ponieważ Jezus umarł za nas i Jego śmierć nas odkupiła. *Empti enim estis pretio magno!* (1 Kor 6,20), ty i ja drogo zostaliśmy wykupieni”[11].

Opus Dei ucieleśniało dla mnie odnowę chrześcijańskiego doświadczenia, ponowne odkrycie starożytnej jedności, która jakoś

zagubiła się w bitewnym zgiełku najnowszej historii. Nie znałem nikogo w kręgach protestanckich, kto przemawiałby z równie świeżym tchnieniem Ewangelii, jakie cechowało członków Opus Dei – zarówno świeckich, jak i duchownych.

Gdy czytam jego kazania, czuję, jak gdyby były skierowane specjalnie do mnie. Święty Josemaría powiedział kiedyś: „Nie dostrzegłeś konieczności modlitwy, obcowania z Bogiem, który podnosi cię aż do przebóstwienia? To jest właśnie wiara chrześcijańska i w ten sposób rozumiały ją wszystkie rozmodlone dusze. »Człowiek staje się Bogiem« – pisze św. Klemens Aleksandryjski – ponieważ chce tego samego czego chce Bóg”[12].

[1] Historia młodego księdza stanowi stały element ustnej tradycji Opus Dei. W wersji skróconej przytacza ją Peter Berglar, *Opus Dei: Life and Work of Its Founder, Josemaría Escrivá*, Scepter, Princeton, 1993, s. 75.

[2] de Prada, dz. cyt., t. I, s. 429.

[3] Tamże, s. 427.

[4] Tamże, s. 428.

[5] Josemaría Escrivá, *To Chrystus przychodzi*, przeł. Antoni Kajzerek, Księgarnia św. Jacka, Katowice 1992, 64.

[6] de Prada, dz. cyt., t. I, s. 429–430.

[7] Josemaría Escrivá, *Kochać Kościół*, przeł. Agnieszka Baranek, Księgarnia św. Jacka, Katowice 1994, s. 29.

[8] *Katechizm Kościoła Katolickiego*, art. 654.

[9] W języku hebrajskim, podobnie jak w grece i wielu innych starożytnych językach, to samo słowo oznacza „duch”, „oddech” oraz „podmuch wiatru”.

[10] Zob. Christoph Schönborn, *Przebóstwienie: życie i śmierć*, przeł. Wiesław Szymona, W Drodze, Poznań 2001.

[11] *Droga krzyżowa*, 14.

[12] *To Chrystus przychodzi*, s. 26.